

AUTOR: Ks. Rafał J. Sorkowicz SChr

Zawsze chciałem być blisko ludzi. Dotykać ich ran subtelnym dotykiem Samarytanina. Spotykam codziennie mnóstwo poranionej duchowo młodzieży. Widzę jak słabną, cieszę się, gdy powstają mocni duchem, podnoszeni łaską. Uśmiecham się wtedy po cichu. Idziemy razem, różnymi drogami, ale do jednego celu. Rana w ranę. Mamy czasami mocno połamane skrzydła i powyginane aureole. Nigdy nie byłem i nie będę świętszy od moich ukochanych młodych. Pragnę tylko jednego. By od czasu do czasu podnieśli głowy i zobaczyli otwarte Niebo...

Wiem, że sam nie wiele mogę. Dlatego, gdy trzymam Ciało Chrystusa w dłoniach, o jedno Pana błagam. Bym nigdy nie zapomniał, kto jest najważniejszy. Ksiądz, który nie krzyżuje swojego spojrzenia ze spojrzeniem Jezusa, ginie w odmętach własnej niewystarczalności, zwija się z bólu, przygnieciony słabością i ludzką, zwyczajną niemocą. Wiem, może to dziwnie zabrzmi, ale czasami wydaje mi się, że gdy jestem sam na sam z Nim, przenikającym przez zamknięte drzwi tabernakulum w moje rozpalone ciało i złamanego dniem powszednim ducha, właśnie wtedy jestem najbliżej tych, których noszę w sercu. Modlitwa znosi granice czasu i przestrzeni. Boże, jak bardzo jestem Ci wdzięczny za to, że możemy żyć, oddychać i spać pod jednym dachem. Że tyle razy wychodzisz z tabernakulum, w kaplicy naszego zakonnego domu, by ze mną porozmawiać, objąć, podnieść, gdy ciało z sił opada a ogień ducha przygasa.

Tabernakulum płonie. Twoją świętą obecnością. Widzę Cię czasami, Panie, jak rozmawiasz z bogatym młodzieńcem. Ma mnóstwo pytań, jak to młodzi. Choć brakuje mu odwagi. Jeszcze szuka, jeszcze się lęka, jeszcze poznaje siebie, świat i Boga po omacku. Innym razem widzę, jak stoisz w otwartych drzwiach i patrzysz się w dal, czekając na marnotrawnego syna. Cierpisz, ukradkiem ocierasz łzę, jedną drugą, ale nie tracisz nadziei. Wiesz, że w którymś momencie, gdzieś w oddali zarysuje się sylwetka młodzieńca, że będziesz mógł rozpocząć bieg ku niemu i objąć go, choć tak wiele zmarnotrawił. Jak to młodzi. Dajesz mi kolejne lekcje. Jak być cierpliwym, jak nie odrzucać, jak pokazywać młodym, bez obwijania w bawełnę, co jest czarne a co białe.

Ale najbardziej uwielbiam ten moment, gdy w stojącym przede mną i uśmiechającym się młodym człowieku, widzę nagle Twój uśmiech. Albo gdy w spowiadającym się chłopaku, czy dziewczynie, słyszę nagle Twój ciężki oddech, charakterystyczny dla umierającego na krzyżu skazańca. Jak mocno ci dorastający młodzi czasami cierpią. Jak bardzo czują się samotni, pogubieni. Bo gdy oni cierpią, Ty cierpisz razem z nimi. Gdy oni upadają, Ty upadasz razem z nimi, przygnieciony ich grzechami. Uwielbiam czynić znak krzyża i wypowiadać słowa rozgrzeszenia. Słyszeć wtedy radość Nieba, trzepot skrzydeł rozradowanych aniołów. A w tabernakulum da się słyszeć Twój głos: "Kawał dobrej roboty, stary"...

Co jest moim największym marzeniem? To, o czym wspomniałem na początku. Słowacki pisał o przerabianiu zjadaczy chleba w aniołów. A mi wystarczy, że młodzi będą dalej zajadać chleb, bez aspiracji do anielskich lotów. Pragnę tylko jednego. By, twardo po ziemi stąpając, nigdy nie zapominali o otwartym Niebie. I o tym, że ich ciało zamieszkuje Duch Boży. Dlatego tak się tego Jezusa uczepiłem, bo wiem, że tylko w Nim wszystko nabiera sensu, staje się proste, osiąga swoja pełnię. Wiem to, bo też byłem młody i znam smak młodzieńczych igraszek z losem.

I jeszcze jedno. Jezus nauczył mnie, że od młodych wiele się można nauczyć. Szybko zapominamy, uprawiając dorosłość o tym, co w młodości dodawało skrzydłom polotu. Mickiewicz pisał: "młodości, ty nad poziomy wylatuj". Jak się jest młodym, chce się walczyć o piękne idee, szybować ponad poprawnościami przeróżnej maści, ponad utartymi schematami. I dlatego lubię powracać do Mickiewiczowskiej "Ody do młodości":

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy:
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła...

Młodość "dodaje skrzydeł". Podobnie jak modlitwa i wtulanie się w tabernakulum. Dotyku dobrego Samarytanina, poprzez który Pan leczy poranioną młodość, może nas kapłanów nauczyć tylko i wyłącznie sam dobry Samarytanin. Próbowałem wiele razy ułożyć sobie życie, bez Ciebie, Panie, ale nie potrafię. Uciekałem, chowałem się, odnajdywałem mnóstwo inteligentnych wymówek. Bez sensu... Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść... I nie żałuję... A teraz uwiedź moich ukochanych młodych. A jeśli Ci się przydadzą moja słabość, lęk, wątpliwości, moja głupia naiwność, letniość ducha, bierz to wszystko i przerabiaj, by moc się, w tym całym badziewiu jeszcze jednego zakonnika, porządnie doskonaliła...

Tyle na ten temat. A teraz czas na spotkanie. Ktoś w tabernakulum czeka. By o młodych pogawędzić, o młodych wspólnie powalczyć. I zakonnikiem potrząsnąć. By miał odwagę z młodymi nad poziomy wylatywać. Nawet na połamanych skrzydłach i z mocno uszkodzoną

aureolą...

ŹRÓDŁO: **http://sorkovitz.blogspot.com**